

KRONIKA GOSTYŃSKA

CZASOPISMO  REGJONALNE

SERJA VI. Nr. 3.

Gostyń, dnia 1 marca 1934 r.

TREŚĆ: Wł. Stachowski — Kościół w Czachorowie. Stanisław Helsztyński — Poezje Stan. Czernika, b. red. „Ziemi Gostyńskiej”. Wacław Arendt. — Bractwo Strzeleckie w Piaskach (ciąg dalszy). W. S. — Jak bawiono się kiedyś w Gostyniu.

Wł. Stachowski.

Kościół w Czachorowie.

Mówiąc w poprzednim zeszycie Kroniki o morowym powietrzu, które na początku XVIII w. pochłonęło prawie zupełnie mieszkańców gostyńskich, przytoczyłem z ksiąg kościelnych wotum ówczesnego proboszcza ks. Owsieńskiego, którem zobowiązał się na wieczną pamiątkę owych smutnych lat wznieść swoim sumptem kościółek pod Czachorowem.

Przyrzeczenia swego dotrzymał proboszcz, wznosząc kościółek jeszcze w czasie trwania powietrza lub też bezpośr. po jego ustaniu. Już bowiem wizytacja ks. Piotra Tarły z r. 1726 zawiera kilka szczegółów o tym kościółku. Z protokołu wizytacji tej dowiadujemy się, że erekcję kościoła zapisano 26 kwietnia 1717 w aktach konsystorskich poznańskich. Na uposażenie kościoła składało się 30 zagonów roli w Czachorowie i procent od 1600 zł, zapisanych na tejże wsi przez Mikołaja Chlebowskiego, chorążego wieluńskiego.

O stanie kościoła wizytacja mówi mało, wspomina bowiem tylko, że sprzętów w nim niema żadnych. O budynkach gospodarczych, wzniesionych przez ks. Owsieńskiego, dowiadujemy się, że składały się na nie owczarnia, dom dla owczarza o jednej izbie i komorze i gumno.

Ponieważ procenty od kapitału nie wpływały, nabożeństwa w kościele się już wówczas nie odbywały, choć proboszcz gostyński używał rolę, należącą do kościółka.

Następna wizytacja z 17 marca 1737, przeprowadzona przez ks. Wolińskiego, daje nam bliższy opis kościoła. Według niej wzniesiony był kościół czachorowski z pruskiego muru. Założony pod wezwaniem Najśw. Marji Panny, w roku

wizytacji nie był jeszcze konsekrowany. Wewnątrz kościoła znajdowały się trzy ołtarze. W głównym mieścił się obraz Chrystusa Ukrzyżowanego. Zaopatrzony był tylko w portatyl. Natomiast boczne dwa ołtarze wówczas jeszcze pewno nie posiadały obrazów, gdyż wizytacja o nich nie wspomina. Również nie miały mensy i portatyłu.

Wnętrze musiało być bardzo ubogie. Nie było ambony, chór nie miał organów, natomiast były ławki w dobrym stanie. Pod kościołem znajdowała się krypta a na wieżycze sygnarek. Cmentarz wokół kościoła był zaniedbany.

Z gospodarskich budynków wspomina protokół dom z izbą i komorą i owczarnię.

Tyle mówią wizytacje. Natomiast znacznie więcej ciekawych szczegółów znajdujemy w aktach konsystorskich, odnoszących się do tegoż kościoła. Z akt tych wynika, że w roku 1744 zawarł Abraham z Wybranowa Chlebowski, miecznik wieluński, syn Aleksandra, chorążego wieluńskiego, i Krystyny z Radomicka Daleszyńskiej, właściciel Czachorowa, Krajewic i Leciejewa, umowę z ks. Szulczewskim, proboszczem gostyńskim, w obecności komisarzy konsystorskich, ks. Sebastjana Degórskiego, doktora obojga praw, kanonika kijowskiego, dziekana śremskiego i proboszcza domachowskiego, i ks. Marcina Szuberskiego, dr. fil. i proboszcza żytowieckiego. Umową tą przeniesiono kościół z dotychczasowego miejsca do samego Czachorowa.

Z tenoru umowy dowiadujemy się, że kościół czachorowski fundowała 22 grudnia 1710 Krystyna Chlebowska w obecności swego męża i Tomasza Czachorskiego i Józefa Gorzałkowskiego, siostrzeńców „ex linea paterna”; fundację tę potwierdził ks. sufr. Tarło. Kościół wzniesiony był pod wezwaniem Pocieszenia N. M. Panny, św. Franciszka Ksawerego, Jana Nepomucena i św. Urszuli i tow. jej. Fundowany wówczas kościół stał na „drugiej górze od Gostynia” na „miejscu polnem” w borze czachorowskim. Msza św. miała się w nim odbywać co niedzielę i święto, na co legowała 3 staja roli po 100 zagonów, prócz tego jako meszne z ról kmiecych i pustych do kościoła farnego w Gostyniu 400 zagonów u granic brzeskich „w tryanguł ciągnących się u kału nazwanych”. Do kościoła czachorowskiego należały prócz tego legaty i to legat (z r. 1717) Marjanny z Pijanowic Czachorskiej, wdowy po Adamie, na msze, mające się odprawiać co piątek, 1000 zł i legat Katarzyny Warszawskiej 600 zł, z czego 300 zł na upiększenie kościoła.

Gdy jednakowoż z biegiem czasu okazało się, że proboszcz gostyński „tak dla złych podróży, słot i distanciam loci” nabożeństw przewidzianych odprawiać nie mógł, zrezygnował w tym układzie z dochodów, związanych z kościołem czachorowskim, za co przyrzekł mu miecznik za siebie i swych spadkobierców (przy zwolnieniu z innych ciężarów) rocznie na św. Marcina 6 ćwiertni żyta i 6 ćwiertni owsa. Tę samą ilość miał proboszcz otrzymać ze wsi.

Celem tej umowy było wyłączenie kościoła czachorowskiego z pod zarządu proboszcza gostyńskiego i utworzenie samodzielnej kapelanji, co dałoby rękojmię stałych nabożeństw. Aby to jeszcze ułatwić zobowiązał się dziedzic w miejsce dotychczasowego własnym kosztem pobudować nowy kościół, cmentarz i „domicyljum” z ogrodzeniem w samej wsi, tuż przy ogrodzie dworskim. Dotychczasowe miejsce miało przejść na jego własność.

Wówczas też uregulowano dochody kapelana. W miejsce dotychczasowych 300 zagonów zobowiązał się dziedzic wypłacać rocznie 120 zł. Pozostałe 400 zagonów miały nadal służyć księdzu. Wzamian dotychczasowego legatu na Czachorowie w sumie 1600 zł zapisał na Krajewicach i Leciejewie 4400 zł z 7% rocznie, za co kapelan odprawiać miał nabożeństwa, czytać ewangelje i uczyć dzieci katechizmu.

Mimoходом tylko nadmienić wypada, że Abraham był bratem wspomnianego wyżej Mikołaja Chlebowskiego.

Odpis dokumentu erekcyjnego z r. 1744 znajduje się w aktach konsystorskich.

Wobec takiego, aczkolwiek skromnego, uposażenia poczęli się zgłaszać kapelani. Już w roku 1750 spotykamy jako kapelana czachorowskiego ks. Pawła Ciszewskiego. Jak długo tutaj duszpasterstwo sprawował nie wiadomo. Z wizytacji ks. Młodziejowskiego (1777) dowiadujemy się, że do kościoła czachorowskiego wkradły się poważne nieporządki. Kapelanem był wówczas benedyktyn o. Brunon Herenkowski.

Gdy wizytator przyjechał 25 lipca do Czachorowa, kapelana nie zastał, gdyż, jak wyraża się z niezadowoleniem kapelan wyjechał, choć powiadomiony był o dniu wizytacji. Długo szukano kluczy, w końcu wykazało się, że kościół był niezamknięty. Po cmentarzu wałęsały się świnie, a w grobowcu pod samym kościołem znaleziono beczki z piwem, należące do dworu. Nic też dziwnego, że wizytator zalecił kapelanowi, aby zrezygnował z kapelanji i powrócił do klasztoru. Prócz tego polecił, aby cmentarz ogrodzić

i zamknąć, by zwierzęta po nim chodzić nie mogły, beczki z piwem usunąć, klucze zaś kościelne nie dawać na przechowanie służbie dziedzica, lecz trzymać je w domu kapelana.¹⁾

Na schyłku XVIII w. i początku XIX w. był kapelanem czachorowskim ks. Karol Zieliński, który umarł tutaj 11 grudnia 1802, mając 49 lat, o czym donosi konsystorzowi ks. Łyczyński²⁾, który też otrzymał komendę na Czachorowo. W tym samym roku donosi ks. Wolińskiemu Augustyn Poraj Gorzałkowski, ówczesny dziedzic Czachorowa, że sprawił do kościoła nowy dzwon i prosi o pozwolenie, aby poświęcenia jego mógł dokonać opat lubiński Stanisław Kieszkowski.

Tenże dziedzic pomnożył dochody kapelanji, dając łąkę, która miała przynosić 12 wozów siana; prócz tego darował 9 krów i zobowiązał się bezpłatnie paść 10 sztuk bydła. W zamian za należące się kapelanowi rocznie 120 zł zobowiązał się uprawiać całą rolę i utrzymać w dobrym stanie wszystkie budynki kapelanji.

Mimo to kapelanja nie była obsadzoną. Wprawdzie zgłosił się na nią w r. 1805 ks. Kazimierz Olbrycht, pleban w Żabnie, suspendowany od blisko 3 lat i skazany na 3 miesięczny pobyt w seminarjum, lecz konsystorz uzależnił obsadzenie kapelanji w Czachorowie od zapisania w księdze wieczystej zmian, które w uposażeniu zaprowadził śp. Augustyn Gorzałkowski. W odpowiedzi na to żądanie doniósł konsystorzowi Antoni Bojanowski, opiekun małoletnich Gorzałkowskich, że rezygnuje z przysłania ks. Olbrychta.

Tymczasem w r. 1806 otrzymał prezentę na Czachorowo ks. Jakób Sobański, wikariusz w Michorzewie, po pierwotnej odmowie ze strony konsystorza. Gdy już w następnym roku z kapelanji zrezygnował, otrzymał komendę na nią ks. Antoszewicz³⁾, proboszcz gostyński, a po nim, narażenie na 4 miesiące ks. Wincenty Żukowski, wikariusz domachowski, który już 18 lat był wikariuszem. Dnia 27. 5. 1808 otrzymał tymczasową instytucję, lecz już rok później, 5 sierpnia 1809, przeniósł się do Drzeczkowa, przyczem z Czachorowa nie zrezygnował, dojeżdżając konno tudotąd. Ponie-

¹⁾ wizytację przeprowadził archidiakon śremski ks. Józef Łodzia z Dzwonowa Rogaliński z polecenia biskupa poznańskiego Andrzeja Stanisława Kostki Młodziejowskiego.

²⁾ Ks. Jan Nep. Łyczyński, kanonik honorowy inflancki, dziekan śremski, był proboszczem gostyńskim 1782—1803; † 27. 7. 1803 w 53 roku życia.

³⁾ Ks. Józef Kalasanty Antoszewicz vel Antosiewicz był proboszczem gostyńskim 1806—1809.

waż tak ks. Sobański jak i ks. Żukowski nie otrzymywali prowizji od sum, zapisanych na Krajewicach, taką mieli biedę, że, jak pisze ostatni, „musiałby iść żebrac”.

Po odejściu ks. Żukowskiego powstał długoletni spór o dochody z kapelanji z ks. Antoszewiczem, proboszczem gostyńskim. Ks. Żukowski miał rzekomo wszystko zabrać ze sobą prócz 2 krów, które wpędził na podwórze dworskie, i jednej, którą zabił i zjadł.

A że na Drzeczkowo dostał nie instytucję, lecz tylko komendę, nie myślał wypuścić z rąk kapelanji czachorowskiej, nawet, gdy w tym samym roku (1809) przeniósł się na probostwo w Pakosławiu. W toku sporu wniósł proboszcz Antoszewicz 26. 7. 1814 o ponowne wcielenie kapelanji do parafji gostyńskiej, choć narazie bezskutecznie. Jeszcze w r. 1817 trwał spór pomiędzy ks. Antoszewiczem i ks. Żukowskim.

Stosunki, jakie panowały za czasów ks. Żukowskiego w Czachorowie, opisuje tenże w listach do Kurji. Pomiedzy innemi czytamy: „Kluczy od kościoła nie mogłem nikomu zostawić, pewnieby ekonomowi Niemcowi, któryby austeryę z kościoła zrobił, iako przy bytności mojej chciał piwo do kościelnego sklepu pakowac”, lub „y nacierpiałem się biedy, poniewierkow, chłodu, głodu, że ledwie kaleką nie zostałem na ręce y nogi od ciężkich mrozów w pustey stancyi, do którey wiatr, śnieg, drzwiami i oknami leciał. I wyszedłem w złej koszuli y w złych butach łzami zalany”.

Dzięki lichym warunkom kapelanji miał ks. Żukowski być ostatnim już samodzielnym kapelanem czachorowskim. Przejście Czachorowa w r. 1818 z rąk Józefa Gorzałkowskiego w ręce Ignacego Wodpola z Kuklinowa nie zmieniły tych warunków na lepsze, przeciwnie je pogorszyły. Gdy 27. V. 1820 otrzymał komendę na kapelanję czachorowską ks. proboszcz Chełkowski, który stale mieszkał w Oporowie, sprzeciwił się temu Wodpol, domagając się osobnego kapelana. Równocześnie jednak wzbraniał się przejąć na siebie dochody, przyznane kapelanji przez Augustyna Gorzałkowskiego, zasłaniając się tem, że nie były wpisane w księdze wieczystej, tak że jedynym dochodem był procent od 6000 zł, zapisanych na Krajewicach. Ze swej strony zaproponował Wodpol w piśmie do regencji, aby oddano mu w zarząd ziemię kapelanji na przeciąg 10 lat, zobowiązując się składać dochody z niej dla kapelana. Również należałoby jego

zdaniem kumulować procent od 6000 zł na Krajewicach, aby w ten sposób stworzyć większy kapitał kapelanji. Gdyby na tę jego propozycję nie miano się zgodzić, proponuje zniesienie kościoła, nie może bowiem pobierać dochodów proboszcz gostyński, nie odprowadzając w zamian przewidzianych nabożeństw na miejscu.

W r. 1830 zjechał na miejsce z polecenia konsystorza ks. dziekan Polcyn z Dolska, aby zlustrować kaplicę. Z jego sprawozdania dowiadujemy się, że kościół był do połowy murowany, do połowy zaś wzniesiony w pruski mur. Zakrystja znajdowała się za ołtarzem. Do niej prowadziły drzwi żelazne. Okno w niej było zakratowane, to też daremnie dobierali się do niej złodzieje. Obok zakrystji znajdowała się skrytka, do której sam dziekan nie mógł odnaleźć wejścia. Prawy ołtarz był pod wezwaniem św. Sebastjana, lewy Chrystusa Ukrzyżowanego. Chóru, ambony i chrzcielnicy nie było.

Kapelanja była z regłówki, kryta słomą, o 2 izbach i 2 komorach. Należały do niej obora, stodoła i sad ze stawkiem.

Po tej lustracji polecił konsystorz w r. 1830 wydzierzać grunta kapelanji. Wziął je na 3 lata właściciel Czachorowa Franciszek Miłkowski. W ten sposób przestała istnieć samodzielna kapelanja czachorowska, nie zmieniło się w tym stanie nic nawet wówczas, gdy w r. 1839 kupił Czachorowo Budziszewski. Dochody z gruntów przydzielono proboszczowi gostyńskiemu.

Kiedy ostatecznie rozebrano kościół czachorowski, nie zdołałem stwierdzić. Przypuszczalnie stało się to tuż po r. 1860.

Dziś po kościele niema śladu prócz drzwi żelaznych, które znajdują się w owczarni na Poraju, a które noszą rok 1744. Resztę fundamentów usunięto przed kilku laty, usuwając w ten sposób ostatni ślad kościoła, który swoje powstanie zawdzięczał morowemu powietrzu.

A jednak pamięć o nim pozostała do dziś, gdyż wznawia się nabożeństwo w Czachorowie w kapliczce, przed wojną wzniesionej.

Stanisław Helsztyński.

**Poezje Stan. Czernika,
b. red. „Ziemi Gostyńskiej“.**

Parę minęło lat odkąd St. Czernik kierował nawą gostyńskiego ruchu kulturalnego, — wypłynął od tego czasu na szerokie, ogólnopolskie wody. Zabłysnął jako nieprzeciętny badacz zjawisk poetyckich, stylometra wnikający w nawarstwienia i tematowość współczesnej poezji, ponadto pierwszorzędnny twórca oryginalny, autor trzech zbiorów wierszy¹⁾.

Z opatowskiej pochodząc ziemi, wkorzeniony od dłuższego czasu w piastowskiej Wielkopolsce, pracując w gimnazjum w Ostrzeszowie, zrósł się organicznie z ziemią naszą i opiewa ją jak mało kto inny, z uczuciem i umiejętnością, właściwymi w tej a nie innej formie tylko jemu. Zerwał świadomie z urbanizmem, z wezbranym potężnie prądem powojennym, zasilanym z zasady przez poetów pochodzenia niepolskiego, choć po polsku piszących, i przeciwstawia im z całym zdecydowaniem polską rolę, polski wiejski lud, jego wierzenia, pracę, język i ducha. Zgodnie z dobą teraźniejszą, erą powojenną, która położyła w Polsce kres ideałom szlacheckim, stanowiącym potąd alfę i omegę polskiej kultury, gdzie nawet siły, wychodzące ze wsi, z jej chat i opłotków, przybierały się prędko w szych dworkowo-herbowy, stanął Czernik mocną stopą w szeregu poetów-chłopów, poetów pługą, grabi i wideł, poetów patrzących na wieś, oczyma, zdolnymi pojąć jej krajobraz i zrozumieć całokształt spraw, zatopionych w psychozie wieśniaka.

Może w pierwszej serji „farma nad ruczajem“ — żeby nawiązać do zrzeszenia myślicieli amerykańskich z przed wieku — nie objawiła się jeszcze poecie w całej pełnej krasie, może artystycznie nie przefiltrowała się w jego kamienne, surowe studnie piękna: w zbiorze mamy urywki z dłuższych poematów, wzmianki o bohaterach egzotycznych, odgłosy poszukiwań, wyrażone słowami modlitw. Już tu jednak na pierwszy plan wybija się żywioł rodzinnego kraju poety, krążenie dokoła pamiątek dzieciństwa, powrót do zagrody, która go zrodziła. Jest to naturalne, jeśli się zważy,

¹⁾ Stanisław Czernik. Poezje. Serja I. 1931, Odbitka „Gazety Ostrzeszowskiej“; tenże: O polskim płocie, 1933, Wrzesnia, tenże: Przyjaźń z ziemią, Wrzesnia 1934, Biblioteka Wici Wielkopolskich, tom V.

że okna rodzinnej chaty patrzyły swemi szybami na góry świętokrzyskie, że ściany jej tkwiły w ziemi, przeniesionej świeżo na Parnas polski w słowach Stefana Żeromskiego, autora tylu a tylu dzieł związanych z Sandomierszczyzną, Kielcami, Ponidziem, Łysą Górą i Puszcą Jodłową. Czernik to wieśniaczy odpowiednik natchnień szlachcica-Żeromskiego, to wieś, która śpiewa, gdy zamarły dworki.

Świadczy o tem dowodnie zbiór drugi. Manifest poezji wiejskiej, stojącej na wysokim poziomie, dawali Młodożeniec, Przyboś, Szczawiej, Ciesielczuk i inni: Stanisław Czernik prześcignął ich wszystkich. Od pierwszej do ostatniej stronicy przebiega książkę jego jedna melodia, prosta od serca, szczera, bez jednego odcienia fałszu, samorodna, wielka a nowa poezja, czerpiąca treść swą, piękno i formę z różnorodnych zjawisk wieśniackości. Typologiczne są wrażenia, które odbiera od najbliższego przedmiotu, drobiazgu, żdźbła. Zatrzymuje się przy zieloności i nie umie jej opisać inaczej, chyba zamknąć ją w jednym słowie i powtarzać zgłoska za zgłoską: zie-lo-na; w zwykłym płocie wzrośniętą znajduje całą poezję polską do Norwida włącznie, całą muzykę, Szopena nie wyłączając, historję całą, od runów prasłowiańskich poczynając; z okazji żyta, tego, w którym spędził pierwotne, prymitywne dni chłopięce, cały zamienia się w śpiew, w szumizboże, w szumilas, a pszenica wyrasta mu jak dla jego ojca „nadzbożem, nadrośliną, nadpojęciem takim, które się w jednym tylko rozwija powiecie“. Ktokolwiek chce się upoić polską wsią, jej opłotkami, polami, tem, co w niej jest bezpośredniego, wieczyście wielkiego, jej spokojem, pogodą, największą mądrością życia, ten znajdzie to w wiejskim notatniku Czernika. Nic zresztą tematy: można je obierać i opisywać, a nie dotknąć sedna rzeczy i nie wzruszyć nikogo — słowa Czernika, składnia, neotwory i złączenia źródłosłów zachwycają, idą pod samo serce i wiodą na wieś polną, cichą, słodką, drogą. Jak rzadko kto podsłuchał Czernik wieś, nabrał jej w duszę i umie wypowiadać się jej prastarą, najszlachetniejszą w świecie, żywą, żywiczną mową, utkaną z wszystkiego, co rodzajne, świeże, głębokie a proste, szorstkie, jak spękana kora drzew. W jednym z utworów („O mowie ludowej“) wyśpiewał autor na cześć tej swojej mowy niezwykły hymn, który powinien poetów, miłośników mowy, wywabić masami z kawiarni, salonów, miast w opłotki polskiej wsi, pod słomę wiejskich chat.

„Czemże jest farma, jak nie milczącą ewangelją?” — pyta w jednym z swych Szkiców Ralf Waldo Emerson. Pytanie to mogłoby służyć za motto trzeciego zbioru Czernika, wydanego tej zimy w naszym wrzesińskim cyklu wiciowym. Wszyscy my, którzyśmy wyszli z pod strzechy, od kopania ziemniaków, koszenia zboża, pasienia trzody w polu i na łące, weźmiemy z rokoszą do ręki ten tom i powiemy, że jest nasz.

Nie potrzeba nam odtąd sięgać po książki, które ignorowały pierwsze nasze doznania życiowe, narzucały mgłę obojętności lub pogardy na Pszeniczną Wolę i zawsze piękne Dziecińce. „Przyjaźń z ziemią” jest nawiązaniem do tradycji wiejskiej, do prostoty, siły i zdrowia. Jakże daleko jesteśmy tu od ślamazarności, rozkwileń, pseudosmutków i aroganckich w swej nudzie nastrojów wielkich miast, od papierowej poezji pięknoduchów, od kwiatów, które się hoduje w suterynach. Wreszcie ujrzał ktoś wieś, ukochał wieś, napisał o niej parę stron i wybiera się, aby w niej osiąść duchem aż do śmierci!

Zaiste, powinszować można „Kronice Gostyńskiej”, że ten ktoś prowadził kiedyś kolumny jej siostry, Ziemi Gostyńskiej, tchnął w nią ducha i choć pośrednio budował przeszła jej, wbijając je mocno w nurt nowego, ludowego ruchu, który jak fala opływa nas dokoła.

Kosowo n/Obłą, w styczniu 1934.

Wacław Arendt.

Bractwo Strzeleckie w Piaskach.

(Ciąg dalszy.)

Wobec tego, że obszerniej przedstawiłem rolę żywiołu niemieckiego w bractwie, wypada oświetlić z drugiej strony i rolę, jaką odegrali Polacy w tej organizacji. Widząc, że bractwo jest silnie opanowane przez Niemców, nie kwapili się, nieliczni zresztą w mieście, Polacy do wstępowania w jego szeregi, obawiając się, że atmosfera w tym zespole będzie im za duszna. To też spisy członków wykazują tylko rzadko członków polskiego pochodzenia. Przez przeciąg prawie całego wieku spotyka się tylko garstkę Polaków jak Józef Galasz, Szczepan Szydłowski, Szczerbiński, Wojciech Liszewski, Bartlewicz, Skubiński, Leszczyński, Piotr Cerbiński, Piotr Fertnerowski, Orlewski, Józef Smitkowski, Merti-

nowski, Muszyński, Ruciński i Pietrzyński. Trzeba zresztą uwzględnić, że liczba zamożniejszych Polaków w mieście naszym była zawsze znikoma, a takich tylko przyjmowano do bractwa. Napływ polskiego elementu, i do tego jeszcze przeważnie ze sfer robotniczych i rzemieślniczych, a wyjątkowo i kupieckich, rozpoczął się właściwie dopiero około r. 1880. Od tego też dopiero czasu zaczynają rosnać w liczbę członkowie bractwa Polacy. Polonizacja ta robi szybkie postępy, gdyż w r. 1891 jest ich już 8 na 31 członków, w r. 1895 nawet 14 na 29, czyli tworzą już prawie połowę członków, choć w zarządzie zasiada tylko jeden Polak, Jan Bialecki.

Czem sobie wytłomaczyć ten brak agresywności ze strony Polaków? Przecież Bractwo Strzeleckie było organizacją jeszcze z czasów wolnej Rzeczypospolitej, założone przez dziedzica Polaka, istniało na rdzennie polskiej ziemi. Przykładem zresztą świeciło Bractwo w pobliskim Gostyniu, która zawsze było ostoją polskości. A mimo to Polacy nawet wówczas, gdy liczebnie wzrosli na siłach, nie umieli, czy nie chcieli zawładnąć tą placówką, przeciwnie tolerowali niemiecką komendę, niemiecki tok obrad i niemieckie protokoły. Może to trzeba położyć na karb niezorientowania się w sytuacji, pewnej inercji narodowej, zbyt daleko idącej tolerancji i wrodzonej niechęci do tarć i walki w łonie towarzystwa. A może też była pewna obawa przed następstwami natury gospodarczej. Przecież w owych latach żywioł niemiecki coraz więcej stosował wobec Polaków bezwzględny bojkot i bezwzględną walkę we wszystkich dziedzinach. Dość, że większość członków Polaków potulnie dostrajała się do ducha niemieckiego panującego wszechwładnie w bractwie.

Z tem większem uznaniem należy podnieść tych niewielu odważnych, którzy nie wahali się podnieść publicznie protest i domagać się równych praw dla Polaków. Głównie wysunął się na czoło tych uświadomionych, Bronisław Leszczyński. Namietne jego wystąpienie w obronie języka polskiego było na jednym z zebrań wprost piorunujące dla większości niemieckiej. Gdy Leszczyński zabrał głos i począł przemawiać w języku polskim nastąpiła u Niemców konsternacja. Burmistrz Kossag przerwał Leszczyńskiemu, oświadczając, że jeżeli nie przestanie przemawiać po polsku, opuści zebranie, na co tenże odpowiedział, że drzwi są przecież otwarte. Podrażniony burmistrz opuścił salę, a

przewodniczący Langner począł strofować mówcę za jego zachowanie się i niezastosowanie się do przepisów statutu. Na sali zawrzało jak w ulu. Leszczyński nie ustępował, opierając się na tem, że statut nigdzie nie zabrania używania przy obradach języka polskiego. A że rzeczywiście takiego ograniczenia nie było, uchwalono dopiero na walnem zebraniu odpowiednią zmianę statutu, wykluczając temsamem raz nazawsze język polski z obrad.

W odpowiedzi na to i oburzony także że reszta rodaków nie poparła go w słusznych jego żądaniach, wystąpił z bractwa, pociągając za sobą jeszcze dwóch dalszych Polaków, Józefa Leszczyńskiego i Radołę. Dopiero po powstaniu Polski trzej ci patrijoci znaleźli się z powrotem w szeregach bractwa.

Incydent ten opowiedzieli mi starzy członkowie bractwa. W aktach o nim niema śladu, chociaż istnieją protokółarze z owych lat. Widocznie umyślnie to przemilczono, nie chcąc uwiecznić bezwzględnej germanizacji, jaką stosowano wobec współbraci polskich.

Strzelanie odbywało się przez szereg lat pod gołym niebem. W razie deszczu chroniono się do szałasów z chróstu lub do namiotu. Mimo tych niewygód nie ustawała troskliwość około podtrzymania tradycyjnego strzelania. A że bractwo walczyło zawsze z trudnościami finansowymi, dopiero w latach 1913–14 zdobyło się na wzniesienie własnej strzelnicy na miejscu, w którym jeszcze dziś się znajduje. Dopiero w 1912, gdy liczba członków wzrosła do 48, odważono się zaciągnąć w kasie regencji w Poznaniu pożyczkę w wysokości 3000 mk. na budowę sali i dwóch stoisk. Nadprezydent Schwarzkopff przyznał pożyczkę ową bractwu pismem z dnia 11. 12. 1912 pod warunkiem, że od kwietnia 1915 nastąpi jej amortyzacja kwotą 30 mk. rocznie i 2% oraz że strzelnica ta będzie każdej chwili do dyspozycji dla wszystkich niemieckich towarzystw w Piaskach i okolicy, z czego można wywnioskować, jak usilnie popierały sfery rządowe wszelkie organizacje niemieckie. Dzięki tej pożyczce mogło bractwo przystąpić do budowy strzelnicy, która kosztowała 7,746,25 mk. Prace wykonał budowniczy Kretschmer z Gostynia, z którym powstał potem długoletni zatarg, zakończony procesem.

Obecnie strzelnica jest bez długu, gdyż pożyczkę już dawno spłacono. W miejsce dawnych portretów cesarzy niemieckich dziś zdobią jego ściany portrety królów tar-

czowych — Polaków, godło państwa i portret p. prezydenta. Już za czasów polskich rozbudowano ją znacznie. Posiada 3 stanowiska, z których strzelać można do tarczy na odległość 115 m. Ogród założony w r. 1902 jest wzorowo utrzymany i porządnie oparkaniony.

W myśl statutu oddawał pierwszy strzał przedstawiciel miasta, burmistrz lub jego zastępca. Oddawano go na cześć panującego, aż do rozbiorów na cześć króla polskiego a od r. 1815 na cześć króla pruskiego. W r. 1852 zdarzyło się, że przedstawiciel miasta, komisarz Gabler, strzelając w imieniu króla oddał najlepszy strzał, wobec czego też godność króla tarczowego przypadła ówczesnemu królowi Fryderykowi Wilhelmowi, który z tej okazji przesłał bractwu medal pamiątkowy ku wielkiej radości Niemców.

Szczęśliwym trafem zachowały się nazwiska znacznej części królów od samego początku istnienia bractwa. W czasie wojny powstała dłuższa przerwa, gdyż w latach 1914 do 1920 zupełnie zaniechano tradycyjnego strzelania. I dziwnym zbiegiem okoliczności ostatnim królem w pierwszym roku wojny był Polak, p. Antoni Mocz, jemu też przypadł w r. 1920, gdy wznowiono strzelanie, zaszczyt oddania pierwszego strzału w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Oto spis królów brackich:

1782 Knur Karol Leopold, płóciennik

3 Hoffmann Fryderyk, stolarz (?)

4 Ernst Fryderyk Andrzej, kantor

5 Geissler Gottfried Jan, piekarz

6 Langer Jan

7 Siegmund Jan, Jerzy, kołodziej

8 Geissler Gottfried Jan

9 Galasz Józef, młynarz

1790 Knur Karol Leopold

1 Szydłowski Szczepan, garncarz

2 Wollmann Samuel Gottlieb, pisarz miejski i rękawicznik

3 Neuman Kasper Gottlieb, organmistrz

4 Knur Karol Leopold

5 Neumann Kasper Gottlieb

6 Weigt Antoni, piwowar

7 Galasz Józef

8 Szolz I. C., strzelec z Bielewa

9 Roesler Dawid, kołodziej

- 1800 John Marcin
1 Walter Fryderyk, młynarz
2 Wunsch Józef
3 "
4 Magowski, rządca
5 Knur Franciszek
6 Walter Jan
7 Weigt Jan, piwowar
8 Knur Franciszek
9 Bartlewicz Jerzy, bednarz
1810 Bautze Jan Jerzy, młynarz
1 "
2 Wollmann Samuel Gottlieb
3 Walter
4 "
5 Szczerbiński
6 Walter Fryderyk, młynarz
7 Zinke Gottfried, gościnny
8 Liepke Krystjan, szewc
9 Ketzler Fryderyk, młynarz (?)
1820 Roesler Dawid
1 Neumann, gorzelnik
2 "
3 Schulz Samuel, płóciennik (?)
4 Bartlewicz Jerzy
5 "
6 Ketzler Fryderyk
9 Purmann Traugott Emanuel
1841 Friebe Jan Adam, kowal

(Dokończenie nastąpi.)

W. S.

Jak bawiono się kiedyś w Gostyniu.

Codopiero miniony karnawał, w którym bawiono się ochoczo, bezwiednie nasuwa pytanie, jak się w Gostyniu bawiono dawniej. Wtajemniczonym wiadomo, że kiedyś, gdy Kasyno gostyńskie promieniowało na całą naszą dzielnicę, obok poważnej pracy społecznej i kulturalnej pielęgnowano także życie towarzyskie, urządzając liczne i huczne zabawy. Jedną z takich zabaw opisuje przygodny korespondent Gazety W. Księstwa Poznańskiego w nr. 46 z dnia

24 lutego 1842 w liście do tejże gazety, datowanym Gostyń, dnia 12 lutego 1842¹⁾). Czytamy w nim co następuje:

„— — Nadchodziły właśnie ostatki. Jakaś konieczna potrzeba rozweselenia spleenem znękanego umysłu, jakiś pusty, swawolny, dawno już nie doznawany popęd do zabawy, rozjaśniły jak błyskawica zachmurzone moje czoło. Trzeba było pochwycić w przelocie błogie to uczucie, należało pospieszyć się, aby nie ostygło. W mgnieniu więc oka, otrzepawszy z zastarzałego kurzu krotofilno-kuse zagranicznej mody ubranie, stoczywszy bój krwawy z molami, które się w niem, jako w państwie dobrem niby prawem bo przedawnieniem nabytem, bezczelnie były rozgościły; znalazłem się, jako człowiek sam przed sobą uciekający, na publicznej rozstajnej drodze. Tutaj sęk nowy. Dokąd pojechać? W pierwszej chwili chciałem się zdać na instynkt koni, ale wstyd mnie było zrzekać się tak niegodnie najkosztowniejszego człowieczeństwa, klejnotu własnej woli. Gościniec bity, prowadził prosto do Poznania. Do stolicy! Nie jednego samo już nazwanie pociąga. Co do mnie, po krótkiej z samym sobą rozprawie, odciągnąwszy wszystko co się za, od tego, co się przeciw powiedzieć dało, na tym stanąłem rezultacie: stolica, czem mniejsza, tem sztywniejsza, śmieszności tem są śmieszniejsze, im w mniejszem obracają się obrębie, a karykatura wielkiego świata jak może być zabawną dla postrzegacza w tuzinkowych stolicach zagranicznych, tak jest drażliwą i dotkliwą w kraju własnym. Więc Bóg zapłać za stolicę! Ale dokąd prowadzi ta droga, skromna, jak żółta wstążeczka pomiędzy polami śniegiem przyprószonemi wijąca się dróżyna? Do Gostynia! Cóż to ten Gostyń? Mała miejscina licznemi otoczona wioskami, które ze swoich wzgórków ciekawie się jej przypatrywać zdają, miejscina bez pretensyi, prawdziwa parafianka, co przybrawszy niedzielne szaty, nie wie o swoich wdziękach, uśmiecha się do każdego, bo jej błogo na sercu, nie zadziwia nikogo, ale pociąga za sobą wszystkich. Między skromną, hożą, niewinnie szczerą parafianką, a wymuszoną, partesową, trucizną mody przesiąkniętą pięknnością, któżby się wahał, ktoby się namyślał? Nuż więc zwawo! Jedźmy do Gostynia! Pojechałem i nieżałowałem.

¹⁾ Wycinek ten z Gazety W. X. Poznańskiego zawdzięczamy p. Róży Erzepki, która nadesłała nam go z papierów pozostałych po śp. Bolesławie Erzepkim, za co serdecznie dziękujemy.

Dość liczne towarzystwo zebrało się w niedzielę 6. Lutego o godzinie 8mej wieczorem na teatr. Wystawiono dramat: „Akt piąty“, tragedia w 1 akcie, i starą, znaną z życia narodowego żywcem wydobytą komedią: „Siedm razy jeden“. Po odbytych teatrze zajęła scenę orkiestra i bal rozpoczął się. Zabawa trwała aż późno w noc z powszechnem zadowoleniem. Nazajutrz towarzystwo zwiększone przybyciem nowych gości, zebrało się znowu na sali i odegrano przed niem dwie sztuki oryginalne polskie: „Stryjowie i stryjenki“, komedia ze śpiewami — i „Młynarz i kominiarz“, Kamieńskiego, z prawdziwym entuzjazmem przyjęte zostały. Towarzystwo aktorów, które przez ciąg całej już zimy grywało w Gostyniu, mieści w sobie członków, którzy przy dobrej chęci i wsparci ze strony publiczności, mogliby istotnie odpowiedzieć żądaniom nie zanadto wygórowanym. Chodzi tylko o to, aby nie rzucało się na okropne dramata nowej szkoły francuskiej, która najszkaradniejszych, naturę ludzką oburzających środków wyszukiwać musi, aby zobojętniały na wszystko i obumarły z przesycenia gust Francuzów, że tak powiem zgalwanizować. Wszystko to do smaku i charakteru polskiego nie przypada, a w ogólności siły aktorów przechodzi. Dwie sztuki oryginalne polskie w poniedziałek odegrane, przekonać ich były powinny, na jakiej drodze szukać im wypadu względów publiczności i postępu w własnym wykształceniu. Role zastosowane do indywidualnych sił aktorów, były istotnie nieźle oddane. Po teatrze rozpoczęły się tańce i wesołość niczem nie zmieszana trwała również późno, jak dnia poprzedzającego. — Nadszedł nareszcie ostatni wtorek, dzień przeznaczony na uwieńczenie w sposób prawdziwie narodowy zabaw gostyńskich, balem kostumowym (sic!). Dla pomieszczenia tłumu nowo przybywających gości, musiano dnia tego teatr rozebrać i całą ogromną salę kassynową tańcowi zwrócić. O godzinie 9tej ukazało się przeszło dwadzieścia par, w kostumy narodowe przybranych. Cała publiczność z hucznemi przyjała je okrzykami. Krakowiacy, Wielkopolanie, Mazury, Kujawianie z stósownie przybranemi damami, rozpoczęli właściwe tańce i śpiewy, a dla tłoku patrzących miejsca nie stawało. Gdy początkowa wrzawa nieco ustała, zajmujący sprawiała widok mieszanina malowniczych kostumów z nowoczesnoprozaicznymi frakami. Ubiory damskie odznaczały się skromnością prawdziwym napiętnowaną gustem. Żadnych zbytków dostrzedz nie można było, wszystko tchnęło wieśniaczą

w przyborach prostotą i tylko gracya ruchów zdradzała wyższe wychowanie płci pięknej. Kilku Krakowiaków, parobczak wielkopolski, sołtysowa i dama w przepysznym i tyle wdzięków dodającym ubiorze czasów Zygmuntowskich, na szczególniejsze publiczności zasłużyły pochwały. Bawiono się bez przerwy i z równą zawsze ochotą aż do 4tej godziny z rana, a nazajutrz tak bardzo jeszcze towarzystwo całe znajdowało się pod urokiem mile przepędzonej nocy, że bez żadnego wyjątku postanowiło nieopuszczać Gostynia i czwartego wieczora na koncert i bal kawalerski zgromadzić się. Szanowny i utalentowany nasz ziomek Hofmann w Wąsoszu mieszkający, przyjechał umyślnie wraz z żoną, aby czarującą swą grą na wiolonczeli uświetnić koncert gostyński i przyłożyć się czynnie do zebrania sumki na korzyść uczącej się młodzieży. Jak to i wśród zabaw o ważniejszych nie zapomniano przedmiotach! Pani Hofmannowa mimo słabości z prawdziwym poświęceniem i talentem towarzyszyła mężowi na fortepianie. Dzięki im niechaj będą za ich uprzejmą gotowość! Oprócz tego odznaczyły się jeszcze dwie damy na fortepianie znakomitą w grze biegłością i na tem większą zasłużyły u przytomnych wdzięczność, że z przykładną abnegacją, bo bez żadnego przygotowania, słyszeć się dały. Po skończonym koncercie zapomniano fatygi trzech poprzedzających nocy i z równą rzeskością tańczono aż do godziny 2giej. Udano się potem na kolacyą suto zastawioną, po której tańczono znowu godzin kilka, aż smutna chwila ostatecznego rozstania się nadeszła.

Oto jest krótki rys tegorocznych zabaw tutejszych. Jadąc do Gostynia, pragnąłem znaleźć towarzystwo niezbyt liczne, ale dobrane i z sobą oswojone; znalazłem je takim nad wszelkie oczekiwanie moje. Szukałem wesołości szczerzej, staropolskiej, od której, niestety! odwykać pomału zaczynamy; znalazłem ją godną charakteru naszego i niespaczoną wyobrażeniami obcemi. Szukałem nieco zgody, harmonii, uprzejmości — rzeczy tak rzadkich pomiędzy nami — z zadziwieniem znalazłem więcej, aniżeli szukałem. Zgoła czuję się odrodzonym, weselszym, szczęśliwszym. Można się zapewne było bawić gdzieindziej świetniej i huczniej, ale weselej, otwarciej, zgodniej i bardziej po polsku, nigdzie.

Wydaje: Polskie Tow. Kultury i Sztuki im. Al. hr. Fredry (Fredreum) w Gostyniu
Redaktor: Wł. Stachowski.

Administracja: Księgarnia Wł. Stachowskiego w Gostyniu. — Cena 50 gr.
Odbito w Drukarni Spółkowej w Kościanie.